

Byłem w Polsce – 10

16 czerwca 2018

Wielu podróżnych miało ze sobą przedziwny bagaż. Jakieś tłumoki związane sznurkiem, czasem walizki, albo co było najpopularniejsze – teczki! A w tych teczkach... Bóg jedyny wiedział!...

– Pani podrzuci mi teczkę – tam stoi!

A teczka stała jak przymurowana. Nawet dwóch rąk było za mało, aby ją ruszyć z miejsca!

– A co pan tam ma, na miłość boską? Kamienie?

– Iiii tam, kamienie! Motor wiozę, ale on lekuchny – jaki tam ciężki?

Ktoś tam pomógł, popchnął i motor w teczce podawano ponad głowami. No więc gdy silnik paki zaskoczył, łańcuchy na kołach trzymały i tylne drzwiczki były zatrzaśnięte, auto ruszało. Drogi odśnieżano we własnym zakresie, ale większość mijanych wiosek nie miała żadnego sprzętu, więc PKS-owska paka przebijała się przez zasypaną drogę „par force”.

W środku, ciaśniuteńko stłoczeni ludzie rozluźniali się po emocjach wsiadania i startu. Większość wyciągała jakoś papierosy i zaczynała przypalanie.

Wyciąganie zmiętej paczki żeglarzy, sportów czy giewontów to była operacja, która wymagała zespołowego działania.

– Pan wyjmie mi cygara – mówił ktoś, kogo pozycja nie pozwalała na sięgnięcie do własnej kieszeni. „Cygara” to były papierosy.

Podawano sobie zapalonego już papierosa prosto z ust, żuto prymki, spluwano w zagłębienie dłoni, czasem ktoś wpychał pół papierosa w lufkę. Zdarzało się, że palący wydmuchiwał dym

prosto w twarz przyciśniętego do niego, a ten, nie mogąc z powodu ścisku ruszyć głową, wdychiwał go i czuł się tak, jakby sam palił. Można powiedzieć, że tanio mu wychodziło, bo nie musiał kupować, a mógł się napalić do syta!

Paka parła do przodu, osuwając się czasem na jakiejś większej zaspie, przechylając raz w jedną, a raz w drugą, co powodowało przesuwanie się ludzkiego ładunku, który zachowywał się jak jedna, zwarta bryła. Siły prace tej bryły powodowały, że ludzie czuli miażdżenie i wyciskanie powietrza z płuc. Zdarzały się też przyduszone krzyki lub piski kobiet, które bały się wręcz o swoje życie.

Niby żartowano, niby coś tam przepaszano, ale i tak nikt nic nie mógł zrobić i pod tym względem było bezpieczniej niż, powiedzmy, w warszawskim tramwaju w letni dzień, gdy w ścisku dochodziło do rzeczy, o których dziewczyny wstydziły się wtedy mówić, bo tak były wychowywane, żeby „o tym nie mówić, bo to na pewno twoja wina!”. Ej, nawet teraz trudno mi o tym spokojnie pisać!

W każdym razie, w tamtych zamierzchłych czasach – chociaż daleko nie „świętych” – może trochę bardziej szanowano kobiety. Na dowód tego, nie gubiąc przy tym toku opowiadania, powiem tylko tyle, że w czasie jednego letniego kursu zdarzył się pewien przypadek. Po metalowej drabince wchodziła do środka samochodu-paki młoda, wiejska dziewczyna w szerokiej spódnicy. Wiatr zawiał, ktoś coś zauważył i w czekający tłumek poszła elektryzująca wieść, że dziewczyna jest bez majtek. Docinki i kąśliwe żarty wywołały u dziewczyny płacz. W tym momencie konduktor wrzasnął na tłum z taką wściekłością, że żarty umilkły jak nożem uciął.

– Bydło! Żeby ktoś czasem waszych córek tak nie sponiewierał!!!

To pamiętam. Pamiętam słowa, które padły, i pamiętam ciszę. Jakaś starsza kobieta objęła dziewczynę ramieniem, a chłopci

siedzieli cicho i udawali, że patrzą w inną stronę.

Wracam do tej zimowej jazdy PKS-em. Otóż kurs był do Przemyśla przez Dubiecko, Nienadową i Krzywczę.

Jak to się mówiło, „lecieliśmy” na Przemyśl.

Do Dubiecka jeździliśmy, albo chodziliśmy, od czasu do czasu, bo moja mama miała tam dwie dobre znajome, a właściwie kuzynki, które jako niedobitki przedwojennej klasy posiadającej, cierpiały w zrujnowanym pałacu piszczącą biedę. Owdowiałe siostry. Mężowie zginęli w czasie wojny, a one zostały same.

Władza ludowa wydzieliła im tam skromniuteńkie mieszkanie i żyły z ogródka i wyprzedaży dawnych bibelotów. Resztę pałacu przydzielono jakiejś fabryce.

Mama jeździła do nich na pogadanie, powspominanie, trochę popłakanie, ale głównie przywoziła jakąś pomoc, bo wszystkim wtedy było ciężko i ludzie wspierali się jak mogli i czym mogli.

Tak więc drogę do Dubiecka znałem i jak do tej pory wszystko było dobrze, ale jeśli chodzi o tę dalszą, w kierunku Krasieczyna i w końcu upragnionego Przemyśla, to rzecz się komplikowała, bo „paka” musiała pokonać niebywałą przeszkodę, która zimową porą mogła być naprawdę śmiertelna.

Oto tuż koło wsi Krzywcza droga wspinała się trzema stromymi zakrętami na szczyt wzniesienia. To była Góra Krzywiecka. Nawet w lecie ciężarówki wyły tam jak torturowane. Silniki grzały się „do czerwoności”, spotniały kierowca zaciskał ręce do białości, a w pace panowała taka cisza jak w kościele w czasie podniesienia. Zdarzało się, że dochodziło tam do dramatycznych chwil, które w kilku przypadkach skończyły się tragediami. Tak było w lecie. W zimie zaś horror łączył się z thrillerem i nie wiadomo czym jeszcze, bo naprawdę ryzyko było ogromne. Mówię o tym nawet dziś, z perspektywy wielu lat za

kierownicą.

„Paka” była przeładowana, droga zawałona śniegiem, stromizna straszna, a już najgorsze były zakręty. Pamiętam tę drogę do dziś. To było tylko raz, ale pamiętam.

Truck trzeszczał, wył, łańcuchy orały śnieg, a ludzie mówili głośno „Pod Twoją obronę”. Czasem, ale tylko czasem dawał się słyszeć jakiś przyduszony jęk czy szloch, ale poza słowami modlitwy słychać tylko było ciężkie oddechy. Co się działo w szoferce, nie wiedzieliśmy, bo paka była odgradzona, ale oczyma wyobraźni widziałem skuloną nad kierownicą postać kierowcy w kożuchu, który zaciska ręce na kółku i wdeptuje gaz do oporu. Dużo później dowiedziałem się, że te trucki miały blokadę tylnej osi, która mogła być dużą pomocą, ale wtedy ani o tym nie wiedziałem, a nawet gdybym wiedział, to nie wiem, czyby mnie to uspokoiło. Drżałem jak osikowy liść.

W końcu wjechaliśmy. Uważałem to za kompletny cud i wynik modlitw, co chyba nie było dalekie od prawdy, bo wszyscy czuliśmy, że śmierć musnęła nas swoim oddechem.

Strasznie odbiegłem od toku mojego opowiadania o Polsce 2017/18 roku i naszych wycieczek z Warszawy w różne rejony Polski! Już wracam!

Właściwie cały czas podczas naszych wizyt w Polsce mieliśmy dobre warunki jazdy. Pogoda była ładna, drogi suche i nawet w zimie wyszliśmy jakoś obronną ręką. Ale było zimno, a w Krakowie i Zakopanem wręcz przenikliwie. Podobnie było w Sudetach i przy minusowej temperaturze nie zdecydowaliśmy się wchodzić na Śnieżkę. Mówię naturalnie o naszych jesienno-zimowych pobytach, podczas których cały czas walczyliśmy przy porządkowaniu i opróżnianiu domu, wizytowaliśmy mamę i od czasu do czasu wyjeżdżaliśmy w krótkie trasy, żeby oczyścić głowy z myśli i niepokoju.

W czasie tych rajdów widzieliśmy – szczególnie na Mazurach – ludzi z koszykami, którzy sprzedawali grzyby. Było ich tak

wielu, że zaczynałem się o nich martwić, czy je sprzedadzą. Jak się okazało, całkiem niepotrzebnie, bo przejeżdżające samochody zatrzymywały się i widziałem, że biznes kwitnie.

Oprócz grzybiarzy były jeszcze dziewczyny i na jednym odcinku w Poznańskim stało ich tyle, że w tym przypadku faktycznie byłem poważnie zaniepokojony, czy wszystkie znajdą chętnych. Mimo pozornego zastoju w interesie wyglądały na odprężone, w miarę świeże i w dobrych humorach.

Niektóre rozmawiały przez telefony, niektóre machały do przejeżdżających, a jeszcze inne na widok zbliżającego się trucka obracały się do niego tyłem i pochylały głęboko, poprawiając coś przy szpilkach. Przypomniały mi się widoki z kanadyjskich i amerykańskich truck stopów, na których widywało się tlenione blondyny siedzące w oświetlonych wnętrzach aut albo przechadzające się rozkołysanym krokiem po parkingu. Były takie, które pukały do trucków z pytaniem, czy nie potrzeba „towarzystwa”. Słyszało się je też na CB, gdy próbowały umówić klienta. Zastanawiałem się czasami, jak bardzo trzeba być zdesperowanym, żeby korzystać z ich usług, no ale każdy ma swój pogląd na te sprawy i nie mnie o tym sądzić.

A prócz tego przy polskich drogach stoją zajazdy! I jest ich wiele! Zajazdy, gospody, karczmy, „obiady jak u mamy”, hotele itd. I wszędzie dają dobrze zjeść. Inna rzecz, że jadłospisy pełne są niebotycznie uduchowionych nazw najzwyklejszych dań, ale taka jest moda w wielu krajach. Nic nie może być nazwane normalnie. Tak jakby egzotycznie brzmiąca nazwa miała przyciągnąć większą liczbę gości. I może tak właśnie jest!

Inna rzecz, że czasami zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi, jakkolwiek podziwiałem pomysłowość w wymyślaniu nazw.

„Południczki z daniela, marynowane w zalewie z leśnych borówek z miodem podbite rozetą ziemniaków i ogórków na sosie”... itd., itp.

Trudno było wyczuć bluesa, ale sprawa i tak mnie nie

dotyczyła, bo ja zawsze brałem flaki albo kapuśniak plus obowiązkowy schabowy z kartoflami i zasmażaną kapustą. To było moje pożywienie i tym się syciłem! Koniec kropka!

To, że z tym polskim jedzeniem trzeba uważać, przekonałem się bardzo szybko wtedy, gdy stanąłem na wagę. Zapewniano mnie jednak, że to normalne i absolutnie nie ma się czym przejmować (!). Z wielką przyjemnością i ulgą poszedłem za tą radą.

Zatrzymywaliśmy się więc w tych przydrożnych przybytkach jedzeniowych na lunchy i obiady i nigdy nie byłem rozczarowany!

Wypad do Krakowa przedłużył się o wycieczkę do Zakopanego i jeszcze dalej, przez Łysą Polanę i kawałek Słowacji do Krynicy! Droga prowadziła wśród gór, zawsze pięknych i czystych – takich jak wtedy, gdy jako młody człowiek chodziłem po nich z plecakiem. Mówię tu nie tyle o Tatrach, bo żadnym taternikiem nie byłem, ale raczej o Beskidzie Sądeckim czy Beskidach w ogóle, które znałem dość dobrze.

Inna rzecz, że każde beskidzkie pasmo ma swój niepowtarzalny charakter i urok. Nawet ktoś, kto po nich nigdy nie chodził, prawie od razu zauważy różnicę pomiędzy różnymi pasmami. Beskid Sądecki, Niski, Śląski, Gorce czy Bieszczady – każde z nich jest inne.

Jeszcze będąc w Zakopanem, nie sądziliśmy, że pojedziemy dalej. Wszystko przez brak czasu, bo przecież nie przyjechaliśmy do Polski dla jakichś turystycznych przyjemności, tylko do chorej mamy i likwidacji domu. Miałem więc pewne wyrzuty sumienia, że każda chwila spędzona poza Warszawą i naszymi obowiązkami jest jakimś nadużyciem czy egoizmem, ale dzwoniłiśmy do Domu Opieki i w ten, trochę pokrętny i hipokrytyczny sposób uspokajaliśmy poczucie winy.

Autorstwo: Marcin Braniewski

Źródło: Goniec.net